

REANIMATOR

HERBERT WEST



1. W mroku

O Herbercie Weście, który był moim przyjacielem w college'u i "innym" życiu, mogę mówić jedynie z dojmującą zgrozą. Lęk ów nie jest jedynie efektem jego niedawnego zniknięcia w nader złowieszczy sposób, ale zrodził się z całej natury prac, które prowadził i w których po raz pierwszy osiągnął jawny sukces, przed ponad siedemnastu laty, kiedy byliśmy studentami trzeciego roku studiów medycznych na Uniwersytecie Miskatonic w Arkham. Wtedy, fascynowała mnie dogłębnie wspaniałość i diaboliczność jego eksperymentów i byłem jego najbliższym przyjacielem. Teraz, kiedy go nie ma, czar prysnął, a rzeczywisty lęk jest dużo głębszy. Wspomnienia i możliwości, wydają się jeszcze bardziej okropne aniżeli rzeczywiste zdarzenia.

Pierwszy upiorny incydent w naszej znajomości był największym szokiem jakiego doświadczyłem i opowiadał o nim z ogromnym wahaniem.

Jak już wspomniałem, wydarzyło się to gdy studiowaliśmy medycynę, zaś West był już na uczelni powszechnie znaną postacią z uwagi na swe wstrząsające teorie dotyczące natury śmierci i możliwości sztucznego jej pokonywania. Jego poglądy, szeroko wyśmiewane i wyszydzane przez wykładowców i kolegów ze studiów, opierały się na całkowicie mechanistycznej naturze życia i dotyczyły sposobów operowania organiczną maszyną ludzkości, poprzez zastosowanie ściśle określonych działań chemicznych, po ustaniu procesów naturalnych. Podczas swoich eksperymentów z rozmaitymi roztworami animacyjnymi, zabił i poddał terapii ogromną liczbę królików, świnek morskich, kotów, psów i małą, zdobywając przy tym opinię najbardziej nienawidzonego studenta uczelni. Kilkakrotnie udało mu się uzyskać u zwierząt, będących przypuszczalnie martwymi oznaki życia; w wielu przypadkach były one nader brutalne, West zaś uświadomił sobie niebawem, że doprowadzenie do perfekcji swego eksperymentu i jego wyników - jeżeli w ogóle było to możliwe - będzie wymagało żmudnych badań i prawdopodobnie zabierze mu resztę życia. Jasne stało się również, że skoro ten sam roztwór nigdy nie działa jednakowo na przedstawicieli różnych gatunków zwierząt, do dalszych i bardziej specjalistycznych badań będzie potrzebował okazów ludzkich. Właśnie w związku z tą kwestią po raz pierwszy popadł w konflikt z władzami uczelni i ni mniej, ni więcej tylko dziekan uniwersytetu - uczony i dobronaszny doktor Allan Malsey, którego walkę o życie chorych pamiętają wszyscy starzy mieszkańcy Arkham, osobiście zabronił Westowi kontynuowania eksperymentów.

Zawsze byłem wyjątkowo tolerancyjny, jeśli chodziło o prowadzone przez Westa badania i często dyskutowaliśmy na temat jego teorii, których rozgałęzienia i konsekwencje zdawały się niemal nieograniczone. Popierając teorię Maecckla, że życie jest procesem chemiczno -fizycznym, a tak zwana dusza nie istnieje, przyjaciel mój wierzył, iż sztuczne reanimowanie umarłych może zależeć jedynie od stanu tkanek, i że dopóki nie rozpoczną się procesy gnilne, zwłoki wyposażone we wszystkie organy przy pomocy specjalnych środków można ponownie przywrócić do szczególnego stanu zwanego życiem. West w pełni zdawał sobie sprawę, iż psychiczne bądź intelektualne życie może zostać bezpowrotnie zniszczone wskutek najdrobniejszej nawet degeneracji sensorywnych komórek

mózgowych spowodowanej względnie krótkim okresem śmierci. Z początku miał nadzieję wynaleźć reagent, który przywracałby życie przed właściwym nadejściem śmierci, ale kolejne nieudane eksperymenty na zwierzętach uświadomiły mu, iż naturalne i sztuczne przejawy życia były niekompatybilne względem siebie.

Następnie zajął się eksperymentami na wyjątkowo młodych okazach, wstrzykując im swój roztwór do krwi, tuż po ich zgonie. Ta właśnie okoliczność sprawiła, iż profesorowie zaczęli odnosić się nader sceptycznie do jego poczynań, uważając iż w żadnym z przypadków, nie nastąpiła faktyczna śmierć obiektu badanego, nie zadali sobie trudu, by przyrzeć się całej sprawie bliżej i bardziej racjonalnie. Dlatego, potem, jak władze uczelni zawiesiły jego eksperymenty, West zwierzył mi się, iż postanowił w jakiś sposób zdobyć świeże zwłoki i kontynuować w sekrecie badania, których nie mógł już prowadzić otwarcie. Słuchanie go, gdy rozprawał o sposobach i celu swych działań było raczej makabryczne, gdyż na uczelni nigdy sami nie przygotowywaliśmy obiektów do badań anatomicznych. Kiedy kostnica nie mogła nam pomóc, sprawą zajmowali się dwaj Murzyni, i raczej rzadko pytano ich o cokolwiek.

West był wówczas niskim, szczupłym młodzieńcem w okularach, o delikatnych rysach twarzy, blond włosach i łagodnym głosie, toteż mogło się wydawać niewiarygodne, że ktoś taki mógł rozprawać o nikłych korzyściach z poszukiwań obiektów do badań na terenie cmentarza Christ Church i Potter's Field, ponieważ prawie wszystkie chowane tam ciała były balsamowane, co rzecz jasna obracało eksperymenty Westa w niwecz. Byłem wtedy jego aktywnym i zagorzałym asystentem i pomagałem mu przy podejmowaniu wszelkich decyzji, nie tylko dotyczących źródła ciał, ale i znalezienia dogodnego miejsca, w którym moglibyśmy prowadzić naszą ohydą pracę. To mnie przyszła na myśl opuszczona farma za Meadow Hill, w której w pokojach na parterze urządziliśmy laboratorium i salę operacyjną, a we wszystkich oknach zawiesiliśmy czarne zastony, by skutecznie zamaskować nasze nocne działania. Dom stał z dala od drogi, w pobliżu zaś nie było żadnych posesji, aczkolwiek konieczne było podjęcie wszelkich możliwych środków ostrożności. Byle plotki o dziwnych światłach, rozpuszczone przez nocnych marków mogły doprowadzić do fiaska całego przedsięwzięcia. Byliśmy zgodni, że w razie niespodziewanego odkrycia przyznamy, iż jest to laboratorium chemiczne. Stopniowo wyposażyliśmy naszą placówkę naukową w sprzęt zakupiony w Bostonie, bądź wypożyczony cichaczem z uniwersytetu - staraliśmy się zamaskować go tak, by laicy nie zdołali zorientować się do czego służył - zaopatrzyliśmy się również w łopaty i oskardy, by przy ich pomocy grzebać w piwnicy domu użyte do eksperymentów okazy.

Ma uczelni mieliśmy piec krematoryjny, ale urządzenie było zbyt drogie jak na nasze nieautoryzowane laboratorium. Ciała zawsze stanowiły poważny problem, nawet truchła świnek morskich po drobnych eksperymentach prowadzonych przez Westa w jego pokoju w akademiku.

Przeglądaliśmy nekrologi, niczym ghule, gdyż poszukiwane przez nas okazy musiały spełniać kilka podstawowych warunków. Po pierwsze musiały być świeże i nie poddane zabiegom balsamującym, nie mogły być również ofiarami żadnych powodujących deformację chorób i musiały posiadać wszystkie organy.

największą nadzieję pokładaliśmy w ofiarach wypadków. Przez wiele tygodni nie słyszeliśmy o żadnym, który odpowiadałby naszym wymaganiom, choć - z pozoru w imieniu uczelni, ale nie tak często by zwrócić na siebie uwagę - rozmawialiśmy z władzami kostnicy i szpitala. Dowiedzieliśmy się, że w każdym przypadku uniwersytet miał prawo pierwszeństwa przy otrzymaniu ciał, toteż mogło okazać się konieczne abyśmy pozostali w Arkham przez lato, kiedy zajęcia miały nieliczne osobowo grupy semestru letniego.

Koniec końców, jednak uśmiechnęło się do nas szczęście, gdyż któregoś dnia dowiedzieliśmy się o niemal idealnym dla nas przypadku zgonu: poprzedniego ranka w Summer's Pond utonął młody, silny robotnik i został niezwłocznie pochowany na koszt miasta. Ciała nie zabalsamowano.

Tego popołudnia odnaleźliśmy nowy grób i postanowiliśmy zabrać się do pracy krótko po północy.

Rozpoczęliśmy nasze makabryczne dzieło w czarną, mroczną noc, choć wówczas nie znaliśmy jeszcze jedynej w swoim rodzaju cmentarnej grozy, której przysporzyły nam późniejsze nasze doświadczenia. Mieliśmy łopaty i zaciemnione latarki, bo, choć wynaleziono już latarki, nie były wtedy jeszcze tak dobre jak dzisiejsze, te tungstenowe. Odkopywanie szło nam okropnie wolno i gdybyśmy byli artystami moglibyśmy uznać naszą pracę za makabrycznie poetycką, byliśmy jednak naukowcami toteż ucieszyliśmy się, gdy nasze łopaty zgrzytnęły w drewno.

Kiedy pokrywa sosnowej skrzyni została zupełnie odkryta, West zsunął się do dołu i zdjął wieko, po czym wyciągnął nieboszczyka z trumny. Sięgnąłem w dół, wyciągnąłem go z dołu, po czym wraz z Western przywróciliśmy grób do poprzedniego stanu. Cała sprawa nieco nas zdenerwowała, zwłaszcza zaś sztywne ciało - nieruchome oblicze naszej pierwszej zdobyczy - niemniej jednak zdołaliśmy skutecznie zatrzeć wszelkie ślady nocnej wizyty. Kiedy przyklepaliliśmy łopatami ziemię na wierzchu grobu, włożyliśmy okaz do płóciennego worka i wyruszyliśmy w powrotną drogę do starego domu Chapmana, za Meadow Hill.

Tam, na prowizorycznym stole sekcyjnym w świetle silnej acetylenowej lampy, okaz nie wyglądał zbyt upiornie. Był to muskularny, i z wyglądu tępy osiłek, typ prostego plebejusza, potężny, szarooki szatyn, jurny zwierzak, pozbawiony psychologicznych subtelnosci i prawdopodobnie ograniczający wszelkie vitalne procesy do najbardziej zdrowych i prostych. Teraz, z zamkniętymi oczyma wyglądał bardziej na śpiącego niż martwego, choć przeprowadzona przez mojego przyjaciela ekspertyza wstępna, nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do jego stanu.

Mieliśmy nareszcie to, czego West pragnął: prawdziwego trupa, w idealnym stanie, gotowego do przyjęcia

roztworu przygotowanego zgodnie z najostrożniejszymi kalkulacjami i teoriami, do użycia na ludzkim okazie. Napięcie z naszej strony stało się ogromne. Wiedzieliśmy, że szansę na całkowity sukces są nikłe, i nie mogliśmy wyzbyć się dojmującej zgrozy wynikającej z możliwości groteskowych rezultatów częściowej animacji. Nasze największe obawy związane były z umysłem i reakcjami "istoty", gdyż w czasie, jaki upłynął od śmierci, bardziej delikatne komórki mózgowe mogły ulec degradacji. Co do mnie, nadal ciekawiła mnie kwestia tak zwanej "ludzkiej duszy" i lękałem się nieco sekretów, jakie mogły nam zostać wyjawione przez kogoś, kto powrócił z zaświatów. Zastanawiałem się jakie rzeczy mógł widzieć ów spokojny młodzian w niedostępnych sferach i co mógłby nam opowiedzieć, gdyby został w pełni przywrócony do życia. Jednak moja ekscytacja i zdumienie nie były wszechogarniające, gdyż w dużej mierze podzielałem materializm mojego przyjaciela. Był spokojniejszy ode mnie, gdy wpuścił pokąsną dawkę swego roztworu do żyły trupa i błyskawicznie zabezpieczył powstałą ranę.

Oczekiwanie było potworne, ale West nie zasypiał gruszek w popiele. Co kilka chwil przykładął stetoskop do piersi okazu i filozoficznie oznajmiał o negatywnych wynikach. Gdy po trzech kwadransach okaz nie dał najmniejszych oznak życia, z wyraźnym rozczarowaniem uznał roztwór za nieudany, ale postanowił wykorzystać okazję i przed pozbyciem się ciała spróbować jeszcze jednej, nieco zmienionej formuły. Tego wieczora wykopaliliśmy w piwnicy dół i przed świtem mieliśmy go zapełnić, bo choć zaopatrzyliśmy dom w mocne zamki, chcieliśmy uniknąć wszelkiego, najmniejszego nawet ryzyka, odkrycia naszych posępnych praktyk. Poza tym następnego wieczoru ciało nie byłoby zbyt świeże. Dlatego też, zabierając jedyną acetylenową lampę do sąsiedniego laboratorium, pozostawiliśmy naszego milczącego gościa na stole, w ciemności, i poświęciliśmy całą energię na sporządzenie nowego roztworu; ważenie i odczytywanie mieszanki nadzorował West z niemal fanatyczną troskliwością.

Upiorne zdarzenie nastąpiło nagle i zgoła nieoczekiwanie. Przelewałem coś z jednego naczynia laboratoryjnego do drugiego, zaś West pochylał się nad palnikiem spirytusowym, gdyż w tym pozbawionym dopływu gazu domu nie można było podłączyć bunsena - gdy z mrocznej czeluści pokoju, który niedawno opuściliśmy, buchnął potok najbardziej przerażających, demonicznych wrzasków, jakie mieliśmy kiedykolwiek okazję słyszeć. Upiorny dźwięk nie mógłby być okropniejszy, nawet gdyby otworzyły się wszystkie bramy piekieł, i rozległo się dobiegające z otchłani wycie potępionych, gdyż w tej jednej niesłychanej kakofonii zawierała się cała nadprzyrodzona, groza i rozpacz animowanej natury, nie ludzkiej, gdyż żaden człowiek nie byłby w stanie wydać z siebie takich odgłosów. Mię myśląc wcale o naszym martwym okazie, obaj, ja i West rzuciliśmy się jak spłoszone zwierzęta, w stronę najbliższego okna, po czym przewracając naczynia laboratoryjne, lampę i retorty, pognaliśmy jak szaleni w rozgwieżdżoną sielską, wiejską noc. Sądzę, że krzyczeliśmy w czasie biegu zataczając się obłąkańczo, aczkolwiek, gdy dotarliśmy do przedmieścia, pozwoliliśmy sobie na odrobinę wytchnienia. Wyglądaliśmy teraz jak dwaj rewelersi, wracający do domu z nocnej bibki.

Nie rozdzielił się, ale dotarliśmy do wynajętego pokoju Westa, gdzie do świtu szeptaliśmy z ożywieniem, przy zapalonym świetle. Do tej pory zdołaliśmy się już uspokoić, opracowaliśmy racjonalne teorie i plany dalszego działania, abyśmy mogli przespać resztę dnia; zajęcia postanowiliśmy sobie odpuścić.

Jednak wieczorem dwa artykuły w gazecie, zupełnie ze sobą nie związane, sprawiły, iż ponownie odechciało się nam spać. Z niewyjaśnionych przyczyn, stary, opuszczony dom Chapmanów spłonął doszczętnie, do fundamentów; fakt ten byliśmy w stanie wytłumaczyć, przewróconą podczas naszej pośpiesznej ucieczki lampą naftową. Drugi artykuł wszakże, wspominał o próbie zbezczeszczenia nowego grobu na Potter's Field, przy czym wydaje się jakoby łopatą, ktoś próbował rozkopać ziemię gołymi rękami. Tego nie byliśmy w stanie pojąć, ani wytłumaczyć, gdyż łopatami bardzo starannie ubiliśmy ziemię na całym grobie.

Przez kolejnych siedemnaście lat, West często oglądał się przez ramię i skarżył się, że słyszy za sobą odgłosy dziwnego stapania. A teraz zniknął.

[Początek] [Rozdział 2 ->]

2. Demon Plagi

Nigdy nie zapomnę upiornego lata, szesnaście lat temu, kiedy Arkham, niczym anioł śmierci nawiedziła fala tyfusu. Właśnie przez ową szatańską plagę rok ów tak dobrze wrył mi się w pamięć, przez rzeczywisty terror przelatujący na nietoperzych skrzydłach ponad stosami trumien w grobowcach Cmentarza Christ Church, niemniej jednak w tamtym okresie byłem świadkiem jeszcze większego koszmaru, koszmaru, o którym teraz, kiedy Herbert West zaginał, wiem już tylko ja.

West i ja pracowaliśmy, po uzyskaniu dyplomów magisterskich, jako asystenci na wydziale medycyny Uniwersytetu Miskatonic, zaś mój przyjaciel stał się szeroko znany, z powodu swoich eksperymentów prowadzących do ożywiania umarłych.

Po rzezi - w imię nauki - niezliczonej ilości małych zwierzątek, owo dziwaczne dzieło zostało ostentacyjnie przerwane nakazem naszego sceptycznego dziekana, doktora Allana Malsey'a; mimo to West kontynuował pewne testy potajemnie, w wynajętym pokoju w akademiku, a w jednym przerażającym i niezapomnianym wypadku wy dobył ludzkie ciało z grobu na Potter's Field i przeniósł na opuszczonej farmę za Meadow Mili.

Byłem z nim wówczas, i widziałem jak wstrzykuje do nieruchomych żył eliksir, mający, jak przypuszczał, pobudzić w pewnym stopniu chemiczne i fizyczne procesy życiowe okazu. Skończyło się to w potworny sposób - istnym delirium strachu, które dawkowaliśmy stopniowo naszym starganym nerwom - zaś West już nigdy od tej pory nie zdołał pozbyć się przyporządkowanego o błąd wrażenia bycia prześladowanym i ściągającym.

Ciało nie było dość świeże; nie ulega wątpliwości, iż aby odzyskać normalne zdolności mentalne, ciało musi być naprawdę bardzo świeże; natomiast spalenie starego domu, uchroniło nas przed koniecznością pogrzebania "istoty". Byłoby lepiej, gdybyśmy wiedzieli, że spoczywa kilka stóp pod ziemią.

Po tym doświadczeniu, West na pewien czas zarzucił swoje eksperymenty, niemniej jednak jego zapal urodzonego naukowca z wolna zaczął powracać, znowu nagabywał władze uczelni o umożliwienie mu dostępu do sali sekcyjnej i ludzkich okazów do prac, które uważał za ogromnie ważne. Jego prośby i błagania spełży na niczym. Decyzja doktora Malsey'a była niepodważalna, a wszyscy profesorowie z uczelni podzielali decyzję ich szefa. W radykalnej teorii reanimacji dostrzegli jedynie niedojrzałe wynaturzenia młodego entuzjasty, którego szczupła sylwetka, blond włosy, niebieskie oczy za okularami w drucianych oprawkach i łagodny głos nie pozwalały domyślać się nadnaturalnej diabolicznej wręcz mocy zimnego mózgu, którym był obdarzony.

Widzę go teraz takim, jakim był wtedy - i przeszywa mnie dreszcz. Jego twarz sposepniała, ale nigdy się nie postarzała. A teraz w Sefton miało miejsce to okropne zdarzenie, a West zaginął...

Ostatecznie West pokłócił się z doktorem Malsey'em pod koniec naszego ostatniego semestru, przed obroną pracy, a wymiana zdań jaką odbyli nie była bynajmniej stonowana, przy czym mój przyjaciel, bardziej niż dobrotliwy dziekan nie popisał się ogłądą. Czuł, że stale i zgoła irracjonalnie opóźniano jego wiekopomne dzieło;

dzieło, które rzecz jasna mógł kontynuować w latach późniejszych, ale które pragnął rozpocząć, gdy miał jeszcze dostęp do sal i sprzętu na uniwersytecie.

Fakt, iż starsi tradycjoniści zignorowali rezultaty jego eksperymentów na zwierzętach i uparcie zaprzeczali możliwościom reanimacji, był dla młodego, pełnego temperamentu, logicznego umysłu Westa wielce odrażający i niemal niezrozumiały. Jedynie większa dojrzałość mogła pomóc mu w zrozumieniu chronicznych ograniczeń umysłowych ludzi typu "profesorowie - doktorzy", będących produktami pokoleń patetycznych Purytanów, łagodnych, sumiennych, niekiedy dobrodusznych i życzliwych, aczkolwiek zawsze nietolerancyjnych, ograniczonych, nastawionych tradycjonalistycznie i pozbawionych perspektyw. Wiek jest bardzo łaskawy dla tych niedoskonałych, acz wielkodusznych osobników, których największą słabością była bojaźliwość i którzy są ostatecznie karani powszechnym wyszydzeniem, za swe intelektualne grzechy, grzechy takie jak: ptolemeizm, kalwiznizm, anty-darwinizm, anty-Nietzscheanizm czy wszelkie odmiany sabbateanizmu.

Westowi - ostatecznie młodemu człowiekowi - pomimo jego cudownych naukowych osiągnięć, brakowało cierpliwości w stosunkach z dobrotliwym doktorem Malsey'em i jego wykształconymi kolegami. Tłumił w sobie coraz większe oburzenie, a w głębi serca pragnął w jakiś widowiskowy i dramatyczny sposób udowodnić swoje teorie tym tępym jajogłowym. Jak większość młodych, tak i on snuł skomplikowane marzenia na jawie, marzenia o zemście, triumfie i ostatecznym, wielkoduszny przebaczeniu.

I wtedy pojawiła się zaraza, uśmiechnięta i zabójcza. przybywająca wprost z koszmarnych jaskiń Tartaru. Zanim się zaczęła, West i ja zdążyliśmy obronić prace, ale pozostaliśmy na uczelni w charakterze asystentów dla semestru letniego, toteż znaleźdowaliśmy się w Arkham, kiedy plaga z iście demoniczną furią uderzyła na miasto. Choć nie byliśmy jeszcze licencjonowanymi lekarzami, mieliśmy już tytuły magisterskie i w miarę jak rosła liczba zagrożonych, posłano nas pospiesznie, byśmy pomagali chorym. Sytuacja niemal całkowicie wydosłała się spod kontroli, a ludzie marli jak muchy, tak że grabarze nie mogli nadążyć z pochówkiem.

Pogrzeby bez balsamowania zwłok przeprowadzano błyskawicznie, jeden za drugim i nawet krypta grobowca na cmentarzu Christ Church była zastawiona trumnami pełnymi nie zabalsamowanych zmarłych. Te okoliczności nie mogły nie wywrzeć żadnego wrażenia na Weście, który często zastanawiał się nad ironią całej sytuacji: tyle świeżych okazów, a mimo to nie miał żadnego do swoich zawieszonych eksperymentów!

Byliśmy przeraźliwie przepracowani, a upiorne napięcie umysłowe i nerwowe wprawiło mojego przyjaciela w grobowy nastrój.

Jednak łagodni wrogowie Westa również obarczeni byli piętrzącymi się coraz bardziej obowiązkami. Uczelnia została zamknięta, a każdy lekarz z wydziału medycyny niósł pomoc w walce z plagą tyfusu. Doktor Malsey zasłużył się szczególnie w ofiarnej służbie, poświęcając swe wyjątkowe umiejętności i nie słabnącą energię ducha przypadkom, które inni porzucali, z uwagi na niebezpieczeństwo, lub ich ewidentną beznadziejność. W ciągu miesiąca nieustraszony dziekan stał się ludowym bohaterem, aczkolwiek wydawał się absolutnie nieświadomy swojej sławy walcząc z wyczerpaniem, gdyż o mało nie padał z nóg wskutek Fizycznego zmęczenia i wycieńczenia psychicznego. West nie potrafił ukryć podziwu dla męstwa swego przeciwnika, ale również i z tego powodu pragnął, z jeszcze większą determinacją, udowodnić mu prawdziwość swych zadziwiających doktryn. Wykorzystując dezorganizację i chaos, zarówno w pracy uczelni, jak i w lokalnych przepisach dotyczących ochrony zdrowia, zdołał zdobyć świeże zwłoki, przetransportować je nocą do sali sekcyjnej na uniwersytecie i tam, w mojej obecności, wstrzyknął trupowi zmodyfikowaną wersję swego roztworu. Istota faktycznie otworzyła oczy, ale tylko wpatrywała się w sufit z wyrazem porażającej duszę zgrozy, zanim popadła w stan całkowitego odrętwienia, z którego nic nie mogło jej wytrącić. West stwierdził, iż nie było dostatecznie świeże -gorące, letnie powietrze nie wpływa korzystnie na zwłoki. Tymczasem o mało nas nie przyłapano, zanim zdążyliśmy spalić ciało, i West wątpił czy byłoby rozsądnym powtarzanie jego śmiałego wyczynu związanego z nieco innym wykorzystaniem uczelnianego laboratorium.

Epidemia osiągnęła swą kulminację w sierpniu. West i ja o mało nie wyzionęliśmy ducha, zaś czternastego tego miesiąca zmarł doktor Malsey. Piętnastego wszyscy studenci przybyli na pospiesznie wyprawiony pogrzeb i kupili ogromny wieniec, choć ten ostatni, znikł pośród góry kwiatów i wieńców przystanych przez zamożnych mieszkańców Arkham i przez radę miejską. Była to bądź co bądź, sprawa publiczna, gdyż dziekan z całą pewnością był publicznym beneficjentem. Po pogrzebie wszyscy byliśmy nieco przygnębieni i spędziliśmy popołudnie w barze Izby Handlowej, gdzie West, pomimo iż wstrząśnięty śmiercią swego głównego przyjaciela, zmroził nas wszystkich wzmiankami o swych śmiałych teoriach. Większość studentów pod wieczór udała się do domów, lub miała jakieś obowiązki, ale West przekonał mnie abym pomógł mu uczynić tę noc, nocą przez duże M. Właścicielka domu, w którym West wynajmował pokój, zobaczyła nas, jak wchodziliśmy tam, około drugiej nad ranem, w towarzystwie trzeciego mężczyzny, którego wspólnie z Herbertem podtrzymywaliśmy i powiedziała swemu mężowi, iż niewątpliwie musieliśmy sobie dobrze podjąć i z całą pewnością nie wylewaliśmy przy tym za kolanek.

Owa zgryźliwa kobieta miała najwyraźniej rację, gdyż około trzeciej nad ranem cały dom został postawiony na nogi wrzaskami dobiegającymi z pokoju Westa. a gdy wdarto się do środka, wyważając drzwi, znaleziono nas obu nieprzytomnych, leżących na zbрызganym krwią dywanie, pobitych, podrapanych i posiniaczonych, zaś wokół nas po podłodze walały się potłuczone szczątki butelek i instrumentów Westa. Jedyne otwarte okno powiedziało im, co się stało z naszym napastnikiem, a wic to zastanawiało się, jak udało mu się przeżyć przerażający skok z okna pierwszego piętra na znajdujący się poniżej trawnik. W pokoju natrafiono na fragmenty dziwnego odzienia, ale West odzyskawszy przytomność wyjaśnił, że nie należały do obcego, lecz były obiektami zebrany mi w celu dokonania analizy bakteriologicznej w związku z badaniami dotyczącymi przenoszenia zakażeń bakteryjnych. Nakazał spalić je tak szybko jak to możliwe, w dostatecznie dużym kominku. Policji zeznaliśmy, że nie znaleźliśmy tożsamości człowieka, który nas napadł. Był to, jak stwierdził rzeczowo West, zwykły nieznajomy, którego spotkaliśmy w jednym z tych anonimowych barów w śródmieściu. Zachowaliśmy się raczej jowialnie i ani West, ani ja nie złożyliśmy wniosku o ściganie naszego krewkiego kompana.

Tej samej nocy w Arkham rozpoczął się nowy koszmar, koszmar który, moim zdaniem, przewyższył nawet grozę plagi tyfusu. Cmentarz Christ Church stał się sceną potwornej zbrodni; nocny stróż został rozdarty na śmierć w sposób, nie tylko zbyt okrutny, by można go było tu przytoczyć, ale który wzbudził wątpliwości co do tego, czy sprawca zabójstwa był w ogóle człowiekiem. Ofiarę po raz ostatni widziano żywą już po północy, a o świcie odkryto jej rozszarpane na strzępy szczątki. Przesłuchano kierownika cyrku z pobliskiego miasteczka Bolton, ale mężczyzna zaklinał się, że wszystkie jego drapieżniki znajdowały się zamknięte bezpiecznie w swoich klatkach. Ci, którzy znaleźli ciało zauważyli ślady krwi prowadzące do zbiorowego grobowca, na betonie zaś, za bramą, widniała niewielka kałuża szkarłatu. nieco słabsze ślady wiodły w kierunku lasu, ale w pewnym momencie, ni stąd, ni zowąd się urywały.

Następnej nocy diabły tańczyły na dachach Arkham, a wiatr zawodził bluźniercze, szalone pieśni. Poprzez nękane plagą miasto przemykała kłątwa, o której wielu sądziło, iż była gorsza od zarazy, a nieliczni szeptali, że stanowiła ucieleśnienie demonicznej duszy samego moru. Bezimienna istota, pozostawiająca po sobie krwawe ślady, wdarła się do ośmiu domów, a pokłosiem wizyty owego milczącego, sadystycznego monstrum było siedemnaście zmasakrowanych, niemożliwych do rozpoznania szczątków ciał.

Kilka osób, które zdołało ją dostrzec w ciemności stwierdziło, iż była biała i wyglądała, jak zdeformowana mała albo antropomorficzny czart, nie zawsze zdarzało mu się pozostawiać ofiarę w takim stanie, w jakim była gdy ją zaatakował, gdyż niekiedy bywał głodny. Zabił w sumie czternaście osób - trzy, które padły ofiarą zarazy, zastał w ich domach już martwe.

Trzeciej nocy grupka zapalonych poszukiwaczy zdołała ją pochwycić w domu przy Crane Street, opodal miasteczka uniwersyteckiego Miskatonic. Obława była zorganizowana nader przemyślnie i bez rozgłosu, dzięki pomocy ochotniczych stacji radiowych. Z powodu generalnego alarmu i podjętych środków ostrożności, tym razem były już tylko dwie ofiary, zaś pojmanie sprawcy odbyło się bez strat w ludziach.

W końcu istota została powstrzymana przez kulę -ale tylko zraniona, nie zabita - po czym przewieziono ją do miejscowego szpitala, przy powszechnej ekscytacji i odrazie ze strony ogółu.

Był to bowiem człowiek. Co do tego nie ulegało wątpliwości, pomimo ohydnych oczu, małpiej niemoty i demonicznej dzikości. Opatrzono mu ranę i wywieziono do zakładu dla obłąkanych w Sefton, gdzie przez szesnaście kolejnych lat, stworzenie to zawzięcie biło głową w wyłożone miękką gąbką ściany swojej celi, aż do niedawnego incydentu, kiedy, w okolicznościach, o których mało kto chce wspominać, zdołało uciec. Tym co przyprowadziło grupę poszukiwaczy z Arkham o największą odrazę, było oblicze bestii - kiedy w końcu ją umyto i doprowadzono do porządku - ironiczne, niewiarygodne wręcz podobieństwo do uczonego samarytanina, szlachetnego męczennika, który został pochowany zaledwie przed trzema dniami: świętej pamięci doktora Allana Malsey'a. dobroczyńcy publicznego i dziekana wydziału medycyny Uniwersytetu Miskatonic.

Dla zaginionego Herberta Westa, jak i dla mnie, reakcją na ten fakt było bezgraniczne obrzydzenie i zgroza. Wzdramam się, jeszcze dzisiaj, kiedy o tym myślę, bardziej nawet niż tamtego ranka, kiedy West mruknął przez bandaż:

- "Do diaska, nie było dość świeże!"

3. Sześć strzałów w blasku księżyca

Jest rzeczą raczej niesłychaną, by oddawać, jeden za drugim, sześć strzałów z rewolweru, skoro przypuszczalnie wystarczyłby tylko jeden, ale w życiu Herberta Westa było doprawdy wiele niezwykłości. Ma ten przykład, nie często zdarza się, że młody lekarz, opuszczający uczelnię, ukrywa powody dotyczące, takiego a nie innego wyboru domu czy gabinetu, jednak w przypadku Westa tak właśnie było. Kiedy uzyskaliśmy dyplomy i wypłynęliśmy na szerokie wody, by rozpocząć prywatną praktykę, staraliśmy się, możliwie najdyskretniej pomijając fakt, iż wybraliśmy nasz dom, ponieważ znajdował się na uboczu i w miarę niedaleko cmentarza.

Odosobnienie tego typu rzadko pozbawione jest przyczyn - i z nami było podobnie - gdyż badania jakie prowadziliśmy wymagały raczej niezbyt popularnych i niemile widzianych rozwiązań. Z pozoru byliśmy zwykłymi lekarzami, ale w głębi serca nasze działania skierowane były ku większemu i bardziej przerażającemu celowi. Herbert West bowiem poświęcił swe życie prowadzeniu poszukiwań pośród mrocznych i zakazanych "krain nieznanego", na rubieżach których miał nadzieję odkryć tajemnicę życia i przywracania zimnej, cmentarnej gliny do stanu niekończącej się animacji. Tego typu badania wymagają dziwnych materiałów - między innymi świeżych ludzkich ciał - i aby mieć ich stały zapas, należało prowadzić ciche i spokojne życie nieopodal' miejsca ich spoczynku.

West i ja poznaliśmy się na studiach, i tylko ja jeden byłem nastawiony przychylnie do jego okropnych eksperymentów, tak że w miarę upływu czasu stałem się jego nieodłącznym asystentem. Dzięki poparciu uniwersytetu załatwiono nam praktykę w Bolton, przemysłowym mieście opodal Arkham, gdzie mieściła się nasza uczelnia. Fabryka Włókiennicza Bolton, to największy tego typu zakład w dolinie Miskatonic, a zatrudnieni tam cudzoziemcy bywają nader częstymi gośćmi u lokalnych lekarzy. Wybraliśmy nasz dom z największą troskliwością, decydując się na zajęcie ostatniego, raczej zapuszczonego domku na samym końcu Pond Street, o pięć minut od najbliższego sąsiedztwa i oddalonego od miejscowego cmentarzyka łąką, przedzieloną w połowie wąskim pasmem, leżącego na północy, dość gęstego lasu.

Odległość była większa, niż byśmy sobie tego życzyli, ale po tej stronie łąki nie było innego domu, zaś te po przeciwnej nie podlegały okręgowi fabryki. Niemniej jednak, byliśmy ogólnie zadowoleni, gdyż pomiędzy naszym domem a złowieszczym źródłem zaopatrzenia, nie było domów mieszkalnych. Fakt, szło się tam dosyć długo, aczkolwiek bez najmniejszych przeszkód mogliśmy przynosić nasze milczące obiekty badań do domu.

Od samego początku nasza praktyka ruszyła ostro z kopyta, mieliśmy dostatecznie dużo pracy, by jako młodzi lekarze poczuć się zadowoleni, ale i na tyle dużo, byśmy poczuli się znudzeni i zatroskani, gdyż rzecz jasna, interesowało nas wówczas coś zupełnie innego. Robotnicy z fabryki byli raczej krewkiej natury, i poza wieloma naturalnymi potrzebami, musieli wyładowywać swój temperament w rozlicznych bójkach na pięści i noże, dzięki czemu mieliśmy obaj z Western pełne ręce roboty. Jednak nasze umysły pochłonięte były w głównej mierze sekretnym laboratorium, które urządziliśmy w piwnicy: było tam światło elektryczne i długi stół, na którym późną nocą składaliśmy wykopane z cmentarza okazy Westa, by wstrzyknąć im do żył rozmaite roztwory. West jak szalony prowadził szeroko zakrojone eksperymenty, usiłując wynaleźć miksturę, która na nowo pobudziłaby wszelkie funkcje życiowe organizmu, zahamowane przez proces zwany potocznie śmiercią, ale natrafiał w swych badaniach na wiele ogromnych przeszkód. Dla poszczególnych gatunków trzeba było preparować oddzielne specyfiki, to co nadawało się dla świnek morskich, nie służyło ludziom, zaś inne gatunki wymagały jeszcze większych modyfikacji.

Ciała musiały być wyjątkowo świeże, gdyż już lekki rozkład tkanki mózgowej czynił idealną reanimację niemożliwą. nie ulega wątpliwości, iż największym problemem było pozyskiwanie możliwie jak najświeższych ciał; West podczas swych sekretnych badań na uczelni miał przerażające doświadczenia ze zwłokami wątpliwej świeżości. Rezultaty częściowej lub niedoskonałej animacji były bardziej przerażające, niż zupełne niepowodzenia, i obaj mieliśmy szokujące wspomnienia kilku tego typu przypadków. Poza tym, od czasu naszej pierwszej demonicznej sesji na opuszczonej farmie, na Meadow Mili w Arkham, dręczyło nas dziwne, mroczne uczucie zagożenia, zaś West, ów spokojny, niebieskooki blondyn -okularnik, pomimo iż pod wieloma względami przypominał robota wykazującego mechanicznie naukowe czynności, zwierzał mi się często, że ma wrażenie, jakby ktoś go śledził. Owo niejasne odczucie - wywołane było przez stargane nerwy, wzmożone niezaprzeczalnie niepokojącym faktem, iż co najmniej jeden z naszych okazów wciąż jeszcze pozostawał przy życiu: owa przerażająca drapieżna istota, zamknięta w pokoju bez klamek, w zakładzie w Sefton. I był jeszcze drugi fakt: nasz pierwszy okaz, o którego losie nigdy się nie dowiedzieliśmy.

W Bolton mieliśmy szczęście; jeżeli chodzi o okazy do badań, powiodło się nam dużo lepiej niż w Arkham. Nie minął tydzień, odkąd się tam zadomowiliśmy, gdy trafiła się nam ofiara wypadku. Wykopaliliśmy ją w nocy, po pogrzebie, a zanim roztwór przestał działać, otworzyła oczy, i ich wyraz wydawał się całkiem racjonalny. Straciła rękę; być może odnieśliśmy większy sukces, gdyby ciało nie było uszkodzone.

Pomiędzy tym dniem, a styczniem przyszłego roku dokonaliśmy trzech kolejnych eksperymentów: jeden zakończył się kompletnym fiaskiem, w drugim nastąpiły zauważalne ruchy mięśni okazu, w trzecim zaś, najbardziej wstrząsającym, obiekt wyprostował się i krzyknął. Potem nastąpił raczej pechowy okres - było mniej zgonów, a jeżeli już miały miejsce, okazy były zbyt chore, lub zbyt okaleczone, by mogły służyć do naszych celów. Śledziliśmy uważnie opiczności i przyczyny każdego ze zgonów.

Pewnej marcowej nocy, nieoczekiwanie trafił w nasze ręce okaz nie pochodzący z Potter's Field. W Bolton,

przeważający duch purytanizmu umieścić boks w kategorii sportów zakazanych, z typowym rzecz jasna rezultatem. nielegalne walki były wśród robotników fabryki na porządku dziennym, zaś od czasu do czasu w pojedynkach brał udział zawodowy talent bokserski, niższego szczebla. Taki właśnie pojedynek odbył się owej ciemnej zimowej nocy, i najwidoczniej zakończył się w nader brutalny sposób, skoro do naszego domu przybyło cichaczem dwóch mocno zdenerwowanych Polaków, prosząc nas usilnie - i szeptem - abyśmy pospieszyli do sekretnego i niecierpiącego zwłoki przypadku. Poszliśmy za nimi do opuszczonej stodoły, gdzie niewielka gromadka przerażonych cudzoziemców -jaka zdecydowała się tam pozostać - wpatrywała się w milczącą czarną sylwetkę leżącą na podłodze.

Pojedynek odbył się pomiędzy Kidem O'Brienem, potężnie zbudowanym - a obecnie drżącym, jak osika, młodzieńcem o haczykowatym nosie, a Buckiem Robinsonem znanym jako "Dymek z Harlemu". Czarny został znokautowany i nawet pobieżne badania powiedziały nam, że człowiek ów już nigdy nie wstanie. Był odrażającym, przypominającym goryla osiłkiem, o nienormalnie długich ramionach, które nieodmiennie kojarzyły mi się z małpimi, a jego oblicze przywołało myśli o niewypowiedzianych, mrocznych tajemnicach Konga i dźwiękach tamtamów rozbrzmiewających podczas każdej pełni księżyca, nieszczęsnych widzów pojedynku ogarnęła zgroza; nie wiedzieli, jak zachowywały się policja, gdyby cała sprawa nie została zatuszowana, i zareagowali z nieskrywaną wdzięcznością, gdy West, pomimo moich mimowolnych oporów, zaproponował, że po cichu pozbędzie się ciała, zamierzając - o czym doskonale wiedziałem - wykorzystać je do swoich mrocznych celów.

Bezsłoneczny krajobraz skąpany był w księżycowym blasku, my zaś przyodziewszy trup, zanieśliśmy go do domu, przez opustoszałe uliczki i puste łąki, podobnie jak uczyniliśmy to owej przerażającej nocy w Arkham. Zbliżyliśmy się do domu przez łąkę, od tyłu, wnieśliśmy nasz okaz do środka tylnym wejściem i znieśliśmy schodami do piwnicy, tam zaś przygotowaliśmy go do zwyczajowego eksperymentu. Masz lęk przed policją był tak absurdalnie wielki, że nadłożyliśmy czasu i drogi, aby ominąć pojedynczego policjanta patrolującego ten teren.

Rezultat był nieco bezbarwny i zgoła rozczarowujący. Pomimo iż nasz okaz wyglądał upiornie i groźnie, okazał się absolutnie nieczuły na wszelkie roztwory, jakie wstrzyknęliśmy w jego czarne ramię, roztwory, które przygotowaliśmy bazując jedynie na doświadczeniach z białymi okazami. Gdy świt był już niepokojąco blisko, przenieśliśmy ciało przez pola, na skraj lasu opodal cmentarza i pogrzebaliśmy tam, w najlepszym grobie jaki byliśmy w stanie wykopać w zmarzniętej ziemi.

Po milczącym powrocie, położyłem się otępiąły, nie reagując na księżyc świecący mi prosto w oczy. I nagle rozległo się jednostajne stukanie do tylnych drzwi. West również je usłyszał i wszedł do mojego pokoju. Miał na sobie koszulę nocną i pantofle; w jednym ręku trzymał rewolwer, w drugim zaś latarkę. Sądząc z rewolweru, bardziej spodziewał się wizyty kogoś innego, niż policji.

- Lepiej chodźmy we dwóch - wyszeptał. - Tak czy inaczej, lepiej żebyśmy otworzyli - może to jakiś pacjent, tylko tym kretynom mogło wpaść do głowy, by dobijać się do tylnego wejścia.

Zeszliśmy cichutko, ostrożnie, po schodach, ogarnięci częściowo tylko usprawiedliwionym lękiem, po części zaś, nasze obawy wynikały jedynie z nietypowej pory, o jakiej ów tajemniczy gość zawitał w nasze progi. Łomotanie nie ustawało, a wręcz przeciwnie, wyraźnie przybrało na sile. Kiedy dotarliśmy do drzwi, ostrożnie odsunąłem zasuwę i otworzyłem je gwałtownie, a gdy srebrzysty księżycowy blask spłynął na znajdującą się z nimi postać, West uczynił zdumiewającą rzecz. Pomimo oczywistego zagrożenia jakie niosło zwracanie na siebie uwagi, które mogło doprowadzić do fatalnej w skutkach wizyty policji i męczących przesłuchań - mój przyjaciel, nagle gwałtownie, i zgoła niepotrzebnie, opróżnił cały bębenek rewolweru, faszując naszego nocnego gościa ołowiem.

Okazało się bowiem, iż nie był to policjant. W upiornym blasku księżyca, na progu ciał się gigantyczny, zdeformowany stwór, rodem z najgorszych koszmarów -szklistookie, czarne widmo, kucające na progu, prawie na czworakach, pokryte grudami ziemi, liśćmi i pędami winorośli, zbryzgane zaschniętą posoką i trzymające między błyszczącymi zębami śnieżnobiały, potworny cylindryczny przedmiot zakończony drobną rączką.

[<- Rozdział 2] [Początek] [Rozdział 4 ->]

4. Krzyk umarłego

Krzyk wyjącego nieboszczyka sprawił, iż w moim sercu zrodził się lęk przed Herbertem Western, nie tłumiona, jawna zgroza, która dominowała w ostatnich latach naszej współpracy. To całkiem normalne, że coś takiego, jak wrzask trupa, powinno budzić przerażenie; niemniej jednak byłem przyzwyczajony do tego typu rzeczy, a ten przypadek wstrząsnął mną jedynie ze względu na niezwykle okoliczności. I, jak już wspominałem, to nie samego trupa zacząłem się obawiać.

Herbert West, którego byłem współpracownikiem i asystentem, przejawiał naukowe zainteresowania przekraczające zwyczajową rutynę małomiasteczkowego lekarza. Z tego właśnie powodu, kiedy uzyskał praktykę w Bolton, wybrał stojący na uboczu dom, niedaleko cmentarza. Mówiąc krótko i dobitnie, głównym zainteresowaniem Westa było potajemne studiowanie fenomenu życia i śmierci, prowadzące do reanimowania zmarłych za pomocą zastrzyków z roztworem pobudzającym. Właśnie ze względu na owe upiorne eksperymenty, konieczny był stały dostęp do bardzo świeżych ludzkich ciał; bardzo świeżych, ponieważ nawet najdrobniejszy rozkład bezpowrotnie niszczył strukturę mózgu; a ludzkich, gdyż okazało się, iż roztwór ów musiał być preparowany w różny sposób dla różnych typów organizmów.

Zginęły setki królików i świnek morskich, które następnie zostały poddane terapii, ale okazało się, iż brnęliśmy w ślepą uliczkę. West nigdy nie odniósł pełnego sukcesu, ponieważ nigdy nie udało mu się zdobyć dostatecznie świeżych zwłok.

Tym, czego pragnął były trupy, z których dopiero co uciekło życie; ciała, ze wszystkimi komórkami nienaruszonymi, zdolnego do ponownego przyjęcia impulsu, prowadzącego ku formie ruchu zwanej życiem. Istniała nadzieja, że to drugie, sztuczne życie może być powtarzane, dzięki seriom zastrzyków, ale dowiedzieliśmy się, że zwyczajne, naturalne życie nie reaguje na ten typ działań. Aby uzyskać w pełni sztuczną formę życia, prawdziwe życie musi przestać istnieć, okazy muszą być bardzo świeże, ale przy tym faktycznie martwe.

Przerażające eksperymenty rozpoczęły się, kiedy West i ja byliśmy studentami na wydziale medycyny Uniwersytetu Miskatonic, po raz pierwszy mając pełną świadomość w pełni mechanistycznej natury życia. Było to już siedem lat temu, ale od tego czasu West ani trochę się nie zmienił: nadal był niskim, blondwłosym, gładkolicym okularnikiem o łagodnym głosie i tylko od czasu do czasu, lodowaty błysk w jego oku mówił o narastającym i przybierającym na sile fanatyzmie jego charakteru, spowodowanym przez nie słabnący nacisk jego opornych poszukiwań. Nasze doświadczenia były często wyjątkowo odrażające - zwłaszcza zaś, rezultaty nieudanych reanimacji, kiedy to bryły cementarnej gliny dzięki różnym modyfikacjom ożywczego roztworu stawały się przerażającą, nienaturalną i bezmózgową formą ruchu.

Jedna z istot wydała przeraźliwy, rozdzierający dusze i nerwy wrzask; inna ożywszy gwałtownie, pobiła nas obu do nieprzytomności i uciekła ogarnięta morderczym szaleństwem, nim zdołano ją pochwycić i umieścić za kratami zakładu dla obłąkanych; jeszcze inna, odrażająca, afrykańskie monstrum, wygrzebało się z płytkiego grobu i dokonało potwornego czynu, West musiał zastrzelić ten obiekt, nie mogliśmy zdobyć ciał dostatecznie świeżych, aby po dokonaniu reanimacji wykazywały chęć rozumnego myślenia; w efekcie prowadzonych przez nas badań powstawały tylko bezimienne koszarne upiory, niepokój budziła myśl, że jeden, a może nawet dwa z tych potworów, wciąż jeszcze żyły - świadomość ta spędzała nam sen z powiek. Jednak mimo tego, jedyne czym się niepokoiliśmy to trudność zdobycia dostatecznie świeżych okazów do naszych eksperymentów. West był bardziej zapalony ode mnie, toteż niekiedy odnosiłem wrażenie, że patrzył na każdą zdrową, czerstwą, żywą fizys, niczym na potencjalny okaz do reanimacji.

Dopiero w lipcu 1910 roku pech związany ze zdobywaniem okazów zaczął się odwracać. Wyjechałem wówczas na dłuższą wizytę do moich rodziców w Illinois, a kiedy wróciłem, zastałem Westa w stanie jednoznacznego podniecenia. Z ekscytacją poinformował mnie, że najprawdopodobniej udało mu się rozwiązać problem świeżości ciała, a dokonał tego, podchodząc do owej kwestii z zupełną innej strony, mianowicie dzięki sztucznej konserwacji. Wiedziałem, że pracował nad nową i wielce niezwykłą mieszaną balsamującą i nie zdziwiło mnie, gdy okazało się, iż jego trud zakończył się sukcesem; jednak dopóki nie wyjaśnił mi szczegółów, byłem raczej zdumiony, jak tego typu mieszanka mogłaby pomóc w naszym dziele, skoro uszkodzenie zwłok, stanowiące nasz najpoważniejszy problem, spowodowane było procesami gnilnymi rozpoczynającymi się, zanim obiekty trafiały w nasze ręce.

Teraz przekonałem się, że West doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Stworzył mianowicie substancję nadającą się raczej do przyszłego, niż natychmiastowego użycia licząc, że los ponownie ześle mu jakiegoś świeżego i nie pochowanego umrzyka, tak jak przed laty, kiedy trafił się nam Murzyn, zabity w pięściarskim pojedynku, w Bolton.

Ostatecznie los się do niego uśmiechnął, gdyż obecnie w sekretnym piwnicznym laboratorium znajdowało się ciało, którego proces rozkładu, z całą pewnością, nie mógł się jeszcze rozpocząć. West nie ośmielił się prorokować, jak potoczy się reanimacja, i czy mógł liczyć na ożywienie umysłu trupa. Eksperyment byłby kamieniem milowym w naszych badaniach, postanowił więc zatrzymać nowe zwłoki do mego powrotu, tak byśmy obaj mogli, w tradycyjny sposób, być świadkami tego niezwykłego spektaklu.

West powiedział mi w jaki sposób zdobył okaz. Był to żwawy, rzeźki mężczyzna, dobrze ubrany przyjezdny, który dopiero co wyszedł z pociągu, gdyż miał załatwić jakieś interesy w fabryce włókienniczej. Wędrówka przez miasto była długa i zanim przybysz zatrzymał się przy naszym domu, aby spytać o drogę do fabryki, ni stąd, ni zowąd jego serce zaczęło szwankować. Odmówił przyjęcia kropli nasercowych, a w chwilę potem skonał. Można by przypuszczać, iż zwłoki te zostały zesłane Westowi przez niebiosa.

Podczas swej krótkiej rozmowy z Western przybysz stwierdził, że w Bolton był zupełnie nie znany, a po przeszukaniu jego kieszeni okazało się, iż nazywał się Robert Leavitt, pochodził z St. Louis i prawdopodobnie nie miał rodziny, która mogłaby zacząć zadawać pytania w związku z jego zniknięciem. Gdyby mężczyzny tego nie udało się przywrócić do życia, nikt nie dowiedziałby się o naszym eksperymencie. Fiaszko okazałoby się w gęstym paśmie leśnym, pomiędzy domem a cmentarzem. Gdyby jednakże został on ożywiony, zyskalibyśmy sobie sławę i poczesne miejsce w panteonie nauki. Dlatego też, West niezwłocznie wstrzyknął do nadgarstka trupa mieszaną, dzięki której okaz miał w stanie pełnej świeżości doczekać do dnia mego powrotu. Kwestia przypuszczalnie słabego serca, która w moim rozumowaniu stanowiła poważne zagrożenie naszego eksperymentu, najwyraźniej nie trapiła Westa zanadto. Nareszcie miał nadzieję na uzyskanie tego, czego nie zdołał dotychczas osiągnąć: ponowne zapalenie iskierki inteligencji i być może przywrócenie światu normalnej, żywej istoty.

Tak więc nocą osiemnastego lipca 1910 roku Herbert West i ja staliśmy w piwnicznym laboratorium i wpatrywaliśmy się w białą, milczącą sylwetkę skąpaną w oślepiającym blasku łukowych lamp. Mieszanka balsamująca zadziałała zadziwiająco skutecznie, ponieważ kiedy patrzyłem z fascynacją na silnie zbudowane

zwłoki, nie wykazujące od dwóch tygodni oznak zeszywnienia, mimowolnie spytałem Westa czy ten człowiek na pewno nie żyje. Upewnił mnie o tym skwapliwie, przypominając jednocześnie, iż roztworu reanimującego nigdy nie używał bez uprzedniego przeprowadzenia dokładnego badania okazu, jako iż specyfik był bezużyteczny jeżeli w ciele tliła się choć iskierka życia. Podczas gdy West zajął się czynnościami wstępnymi, ja nadal byłem pod wrażeniem niewiarygodnej złożoności nowego eksperymentu; był on złożony do tego stopnia, iż West nie ufał żadnym innym dłoniom, mniej delikatnym niż jego własne. Zabraniając mi, bym dotykał czoła, najpierw wstrzyknął narkotyk do nadgarstka, tuż obok miejsca, w które wkłuł igłę, kiedy wstrzykiwał okazowi swoją mieszkankę balsamującą. Miało to na celu, jak stwierdził, rozluźnienie całego systemu i neutralizację mieszanki, aby roztwór reanimacyjny mógł swobodnie zadziałać, kiedy zostanie wstrzyknięty do krwiobiegu.

Nieco później, kiedy mogło się zdawać, że ciało uległo drobnej przemianie a jego kończyny poczęły niemal niezauważalnie drżeć. West brutalnie przycisnął do przeszywanej dreszczami twarzy okazu poduszkę i nie odjął jej, dopóki trup nie znieruchomiał, będąc tym samym gotowy do naszej próby reanimacji. Błady entuzjasta wykonał skrętnie jeszcze jeden test, aby upewnić się, że okaz jest z całą pewnością martwy, po czym - nareszcie - wstrzyknął w jego lewe ramię dokładnie wymierzoną dawkę ożywczego eliksiru, przygotowanego po południu z dużo większą starannością, niż gdy robiliśmy to na uczelni, kiedy wszystko było dla nas nowe. Nie potrafię wyrazić dzikiego, zapierającego dech w piersiach napięcia z jakim oczekiwaliśmy na rezultat eksperymentu z udziałem pierwszego, naprawdę świeżego okazu - pierwszego, co do którego mogliśmy się spodziewać, iż otworzy usta aby wypowiedzieć jakieś składne słowa, a być może również opowiedzieć nam, co widział po drugiej stronie najgłębszej otchłani.

West był materialistą, nie wierzył w duszę, zaś wszystkie świadome działania człowieka składał na karb cielesnego fenomenu, dlatego też konsekwentnie nie spodziewał się objawień upiornych tajemnic z czeluści i mrocznych miejsc znajdujących się poza granicami śmierci. W pewnym sensie, teoretycznie, się z nim zgadzałem. Ale pozostały we mnie szczątkowe, instynktowne ślady prymitywnej wiary mych przodków, a co za tym idzie, nie mogłem nie przyglądać się ciału z pewną dozą niepokoju i budzącego dreszczyk emocji wyczekiwania. Poza tym nie byłem w stanie zatrzeć w pamięci wspomnienia tamtego strasznego, nieludzkiego wrzasku, który usłyszeliśmy owej nocy, kiedy przeprowadziliśmy nasz pierwszy eksperyment, na opuszczonej farmie w Arkham.

Niewiele czasu upłynęło nim naocznie przekonałem się, że nasza próba nie zakończyła się totalną porażką. Kredowobiałe policzki okazu zaczęły nabiegać kolorami. Różowy odcień zaczął się również pojawiać pod jego szpeciniastym - piaskowej barwy - zarostem. West, który trzymał dłoń na lewym nadgarstku trupa, czując puls, pokiwał głową znacząco i niemal równocześnie, na lusterku trzymanym nad ustami martwego mężczyzny pojawiła się mgiełka, nastąpiła luka w spazmatycznych skurczach mięśni, po czym rozległ się świszczący dźwięk oddechu i kłatka piersiowa zaczęła się poruszać. Spojrzałem na zamknięte powieki i wydawało mi się, że dostrzegam, ich drżenie. W chwilę potem powieki uniosły się ukazując oczy - szare, spokojne i żywe, ale nadal pozbawione inteligencji i choćby odrobiny zaciekawienia.

W chwili fantastycznego wzruszenia zacząłem szeptać pytania, wprost do różowiejącego ucha okazu; pytania o inne światy, które wciąż jeszcze mógł pamiętać. W miarę upływu czasu zostały wyrugowane z mego umysłu przez narastającą zgrozę, ale wydaje mi się, że ostatnie, które powtarzałem po wielokroć, brzmiało: - Gdzie byłeś? nie wiem czy naprawdę mi odpowiedział, czy nie, ale wiem, że w tej właśnie chwili wydało mi się, iż jego usta poruszyły się bezgłośnie formułując sylaby, którym nadałem formę dźwiękową brzmiącą jako: "tylko teraz", jakby te dwa krótkie słowa mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie czy związek z moim pytaniem.

Jednak muszę przyznać, że w tej chwili byłem pochłonięty przeświadczeniem, iż oto w końcu udało się nam osiągnąć upragniony wielki cel i po raz pierwszy reanimowany trup zdołał wyraźnie wypowiedzieć jakiegokolwiek sensowne słowa. W następnej chwili nie mieliśmy już najmniejszych wątpliwości co do tego, że odnieśliśmy sukces; niewątpliwie roztwór okazał się skuteczny i przynajmniej na pewien czas, zdołał spełnić swoje zadanie, przywracając zimnego trupa do stanu w pełni racjonalnego i artykułowanego życia. Jednak wraz z uczuciem triumfu ogarnęła mnie również dojmująca zgroza i nie był to bynajmniej mrozący krew w żyłach lęk przed koszmarną istotą, która przemówiła, lecz przed czynem, którego byłem świadkiem i przed człowiekiem, z którym złączył mnie zawodowy los.

W tej samej chwili bowiem, bardzo świeże ciało, które zdołało w końcu odzyskać pełną i przerażającą świadomość, na wspomnienie swoich ostatnich chwil życia, gwałtownym ruchem wyrzuciło w górę obie ręce, tocząc ostatni bój na śmierć i życie z powietrzem, po czym zaś z ostatnim przeraźliwym krzykiem, którego słowa już zawsze będą pobrzmiwać w mym zbolałym mózgu, po raz drugi i ostatni wyzionęło ducha, przekraczając granicę, skąd nie było już dlań powrotu. Jego ostatnie słowa brzmiały: - Pomocy! Mię zbliżaj się do mnie ty przekłety mały czterooki czorcie! Zabierz ode mnie tę cholerną igłę!

[<- **Rozdział 3**] [**Początek**] [**Rozdział 5** ->]

5. Koszmar wśród cieni

Wielu ludzi opowiadało o rozmaitych upiornych rzeczach (wiele z tych historii zostało opublikowanych), które miały miejsce na polach bitewnych Wielkiej Wojny. niektóre niemal pozbawiały mnie przytomności, inne przyprawiały o mdłości, jeszcze inne wzbudzały zimny dreszcz i sprawiały, że mimowolnie w mroku oglądałem się za siebie. Wydaje mi się, że jestem w stanie opowiedzieć o najbardziej koszmarnym ze zdarzeń jakie tam zaistniało, szokującym, niewiarygodnym koszmarze wśród cieni.

W 1915 roku byłem lekarzem w randze podporucznika, w pułku stacjonującym we Flanders, jednym z wielu Amerykanów wyprzedzających nasz rząd we włączeniu się w gigantyczne starcie narodów, nie wstąpiłem do wojska z własnej inicjatywy, ale niejako na przyczepkę, gdyż w armii znalazł się człowiek, którego byłem nieodłącznym, niezastąpionym asystentem: słynny bostoński specjalista w dziedzinie chirurgii, doktor Herbert West. Doktor West niecierpliwie czekał na okazję, by móc służyć jako chirurg na frontach Wielkiej Wojny, a gdy dano mu ją, zabrał mnie ze sobą, wbrew mojej woli. Istniało wiele powodów, dla których cieszyłbym się, gdyby wojna nas rozdzieliła - powody które sprawiały, iż zarówno praktyka medyczna, jak i towarzystwo Westa stawały się dla mnie coraz bardziej irytujące - kiedy jednak wyjechał do Ottawy i dzięki poparciu swego kolegi, załatwił sobie najwyższy wynik na komisji wojskowej, nie mogłem oprzeć się jego władczej perswazji, gdy uświadomił mi, że jak zawsze muszę mu towarzyszyć.

Kiedy mówię, iż doktor West pragnął służyć na froncie, nie mam na myśli stwierdzenia, iż był z natury miłośnikiem wojen, czy zżerał go niepokój o bezpieczeństwo cywilizacji. Nie, West był zimną niczym lód intelektualną maszyną; chudym, jasnowłosym, niebieskookim okularnikiem; wydaje mi się, iż w duchu wyszydzał moje napady wojennego entuzjazmu i cezury całkowitej neutralności. W ogarniętym wojenną pożogą Flanders, było jednak coś, czego pragnął, i aby to zdobyć musiał zaciągnąć się do wojska. Nie pragnął tego samego co inni, lecz czegoś co wiązało się z dość specyficzną ścieżką nauki, którą uparcie podążał i na której udało mu się uzyskać zadziwiające i nader odrażające rezultaty. Był to, najkrócej mówiąc, stały zapas świeżo zabitych ludzi, w rozmaitych stadiach rozkawałkowania.

Herbert West potrzebował świeżych ciał, gdyż jego pasją życiową była reanimacja umarłych. O jego zainteresowaniach nie wiedzieli szacowni pacjenci, którzy w błyskawicznym tempie uczynili Westa sławnym po jego przybyciu do Bostonu; ja wszakże wiedziałem o tym, aż za dobrze, gdyż byłem jego najbliższym przyjacielem i jedynym asystentem od lat, kiedy studiowaliśmy jeszcze medycynę na uniwersytecie Miskatonic w Arkham. Właśnie na studiach West rozpoczął swe okropne eksperymenty, początkowo na małych zwierzątkach, później zaś na zdobytych w szokujący sposób ludzkich okazach. Opracował roztwór, który wstrzykiwał do żył martwych istot i jeżeli były dostatecznie świeże, reagowały w różnorodny, dziwaczny sposób.

Sporo kłopotów przysporzyło mu opracowanie właściwej formuły, gdyż każdy z gatunków zwierząt wymagał zmienionego składu preparatu. Przeszywała go zgroza, gdy przypominał sobie częściowo udane eksperymenty:

beziemne istoty powstałe z niezupełnie świeżych ciał, przy użyciu niedoskonałych roztworów, niektóre z tych okazów pozostały przy życiu -jeden znajdował się w zakładzie dla obłąkanych w Sefton, podczas gdy inne zniknęły, a kiedy powracał pamięcią do owych wyobraźalnych, acz zdawałoby się niemożliwych przypadków, pomimo swej zwykle nieugiętej postawy i stoickiego spokoju, przeszywał go dreszcz zgrozy.

West przekonał się niebawem, iż absolutna świeżość była podstawowym warunkiem dla używanych do badań okazów i zgodnie z tą regułą zajął się przerażającymi, nienormalnymi praktykami polegającymi na wykradaniu zwłok, na uczelni i podczas naszej wczesnej praktyki, w robotniczym miasteczku Bolton, odczuwałem wobec Westa pełen fascynacji podziw; jednak w miarę jak stosowane przez niego metody stały się coraz bardziej bezwzględne, zaczęła trawić mnie dojmująca zgroza, nie podobał mi się sposób w jaki przyglądał się zdrowym, żywym ciałom; później zaś miała miejsce owa koszmarna sesja w laboratorium, kiedy dowiedziałem się, że jeden z okazów był jeszcze żywy, kiedy został przez Westa spreparowany. Wtedy to po raz pierwszy udało mu się uzyskać w trupie oznaki racjonalnego myślenia i, rzecz jasna, ów sukces uczynił go do reszty nieczułym.

Nie ośmielałem się mówić o metodach stosowanych przez niego przez ostatnie pięć lat. Trzymała mnie przy nim jedynie czysta chorobliwa ciekawość i widziałem rzeczy, których język ludzki nie byłby w stanie powtórzyć. Stopniowo Herbert West stał się w moich oczach postacią potworniejszą niż okropności, które były jego dziełem. Uświadomiłem sobie, że jego niegdyś zwyczajny naukowy zapal związany z przedłużeniem życia zaczął przyjmować bardziej zdegenerowaną formę, przeradzając się w makabryczną, plugawą ciekawość i sekretny zmysł kostnicowego wizjonerstwa. Jego zainteresowania prócz tego, że odrażające i diabolicznie nienormalne były od tej pory piekielne i perwersyjne; ze stoickim spokojem podziwiał sztuczne monstra, na widok których każdy zdrowy człowiek z miejsca padłby trupem, zdjęty bezgranicznym przerażeniem i odrazą; za fasadą błędnego intelektualnego oblicza, stał się nieubłaganym Baudelairem fizycznych eksperymentów, obojętnym Elagabalusem grobowców.

Bez mrugnięcia powieką stawiał czoła niebezpieczeństwu; zabić kogoś było dlań równie łatwo jak splunąć. Wydaje mi się, że osiągnął ów stan z chwilą, kiedy udowodnił swoją tezę, iż racjonalne życie może zostać przywrócone, i, prowadząc eksperymenty reanimujące, na oderwanych fragmentach ludzkich ciał, poszukiwał nowych światów, które mógłby podbić.

Wyznając dzikie i oryginalne idee na temat niezależnych właściwości życiowych komórek organicznych i tkanek nerwowych, oddzielonych od ich naturalnych systemów fizjologicznych, osiągnął pewne, dość odrażające rezultaty wstępne w postaci nigdy nie umierającej, sztucznie odżywianej i rozrastającej się tkanki, uzyskanej z niewykłutych jaj pewnego tropikalnego gada.

Pragnął zawzięcie ustalić dwie rzeczy: po pierwsze -czy jest możliwe uzyskanie stanu świadomości i racjonalnego działania bez udziału mózgu połączonego z rdzeniem Kręgowym i różnymi ośrodkami nerwowymi, po drugie zaś - czy istnieje jakikolwiek, eteryczny, nieuchwytny, pozafizyczny związek, mogący łączyć chirurgicznie oddzielone fragmenty, będąca niegdyś jednym żyjącym organizmem.

Jego badania wymagały ogromnego zapasu świeżo zabitych, ludzkich ciał, i dlatego właśnie Herbert West zdecydował się wyruszyć na front Wielkiej Wojny.

Potworne, niewyobrażalne zdarzenie miało miejsce o północy, pod koniec marca 1915 roku, w lazarecie za liniami frontu, w St. Eloi. nawet dziś zastanawiam się czy stało się to naprawdę, czy też może doświadczyłem demonicznego przypadku delirium. West miał prywatne laboratorium we wschodnim pomieszczeniu czegoś, co przypominało oborę, którą przydzielił mu na jego prośbę popartą twierdzeniem, iż pracował nad nowymi, radykalnymi metodami leczenia beznadziejnych z pozoru przypadków okaleczeń. Pracował tam jak rzeźnik, pośród swoich okrwawionych okazów, nigdy nie mogłbym przywyknąć do lekkości z jaką przyjmował i klasyfikował niektóre rzeczy. Fakt, iż od czasu do czasu dokonywał dla innych żołnierzy prawdziwych cudów, jednakże jego większe sukcesy i powody do radości były mniej jawnej i filantropijnej natury. Wyjaśnieniem mogły być dźwięki, które nawet w tej wieży Babel zdawały się dziwne i podejrzone. Częstymi odgłosami był wśród nich huk rewolwerowych wystrzałów - niewątpliwie pospolity dla pól bitewnych, ale z całą pewnością niespotykany w wojskowym lazarecie. Reanimowanym okazom doktora Westa nie dane było długie życie ani podziw szerszego grona.

Poza ludzką tkanką, West zajmował się sporo tkanką embrionalną węży, którą hodował z tak zaskakującym rezultatem. Była lepsza od materiału ludzkiego do podtrzymywania życia w rozczłonkowanych fragmentach, i to było obecnie głównym przedmiotem jego badań.

W mrocznym kącie laboratorium trzymał ogromne naczynie z pokrywą, pełne gadziej materii komórkowej, która mnożyła się i rosła, pęczniąc w odrażający sposób.

W nocy, o której mowa, w nasze ręce dostał się wspaniały nowy okaz mężczyzny, ongi fizycznie silny i obdarzony tak wielkim umysłem, że pewne było, iż musiał posiadać wyjątkowo czuły system nerwowy. Jak na ironię, był to ten sam oficer, który dopomógł Westowi w pomyślnym przejściu przez komisję wojskową i który miał być naszym współpracownikiem. Co więcej, w przeszłości przez pewien czas studiował u Westa teorię reanimacji.

Major sir Eric Moreland Ciapham Lee, odznaczony Distinguish Serviced Order, był najlepszym chirurgiem w naszej dywizji i został ponownie przydzielony do sektora St. Eloi. kiedy tylko sztab otrzymał wieści o zaciętych walkach w tym regionie. Przyleciał aeroplanem pilotowanym przez nieustraszonego porucznika RONALDA MILLA, tylko po to, by zostać zestrzelonym nad samym celem. Wypadek był tyleż spektakularny, co potworny. Ciało Milla zostało zmasakrowane nie do poznania, ale zwłoki wielkiego chirurga, pomimo iż niemal całkiem zdekapitowane, nie odniosło praktycznie żadnych innych obrażeń. West pospiesznie przeniósł do swego laboratorium pozbawioną życia istotę, będącą niegdyś jego przyjacielem i kolegą po fachu; ja zaś wzdrygnąłem się, kiedy skończył odcinanie głowy i umieścił ją w tym piekielnym pojemniku pełnym galaretowatych gadzich jajeczek, aby zachować ją do przyszłych eksperymentów. następnie ułożywszy zdekapitowane ciało na stole operacyjnym, zabrał się do dzieła. Wstrzyknął trupowi nową krew, podwiązał pewne żyły i arterie, połączył nerwy na bezgłowym kikucie szyi, i zamknął go, przy pomocy skrawka skóry pobranego z okazu w mundurze oficerskim. Wiedziałem czego pragnął, sprawdzić czy wysoce zorganizowane ciało mogło, pozbawione głowy, przejawiać jakiegokolwiek oznaki życia umysłowego, które było udziałem dostojnego sir Erica Morelanda Ciapham Lee. Niegdysiejszy student reanimacji, obecnie zimny trup, miał zostać w upiorny sposób wezwany, aby to zilustrować.

Wciąż jeszcze widzę Herberta Westa, skąpanego w złowieszczym elektrycznym świetle, jak wstrzykiwał swój roztwór reanimacyjny w ramię bezgłowego korpusu. Sceny tej nie jestem w stanie opisać, przypuszczam, że gdybym spróbował, straciłbym przytomność, gdyż w pomieszczeniu pełnym zwłok, nadających się jedynie do kostnicy, panuje atmosfera obłędu: krew i pomniejsze ludzkie szczątki zaścielają podłogę śliską, tłustą, brejowatą, sięgającą prawie do kostek warstwą szlamu, a w odległym kącie - pośród cieni - smażąc się na mrugającym, błękitnozielonkawym, widmowym ogniu, bulgocząc odrażająco, mnożą się i powiększają ohydne, upiorne, gadzie tkanki.

Okaz, jak raz po raz powtarzał West, miał wspaniały system nerwowy. Wiele się po nim spodziewało, a gdy pojawiło się kilka konwulsyjnych skurczów mięśni, zauważyłem na twarzy Westa wyraz gorączkowego zaciekawienia. Sądzę, że był gotowy zobaczyć na własne oczy dowód swojego przybierającego na sile przekonania, iż świadomość, logiczne myślenie i osobowość mogą istnieć niezależnie od mózgu, że człowiek nie ma żadnego centralnego, łączącego ducha, ale jest jedynie maszyną, organizacją tkanki nerwowej, której każdy fragment jest w mniejszym lub większym stopniu samoistną całością. Jedną triumfalną demonstracją West zamierzał sprowadzić całą tajemnicę życia do kategorii mitu. Ciało drgało teraz dużo gwałtowniej i, dosłownie na naszych oczach, poczęły nim targać przerażające konwulsyjne skurcze. Ręce zadygotały niepokojuco, nogi uniosły się, zaś rozmaite mięśnie napięły się w odruchowych spazmach. Następnie bezgłowy stwór wyciągnął obie ręce przed siebie w geście, oznaczającym bez wątpienia bezdenną rozpacz - inteligentną rozpacz i desperację, z całą pewnością wystarczającą do udowodnienia każdej teorii Herberta Westa. Rzecz jasna nerwy kontynuowały ostatnią czynność wykonywaną przez okaz, tuż przed jego śmiercią; rozpaczliwą próbę wydostania się ze spadającego aeroplanu.

Nigdy nie będę wiedział na pewno, co wydarzyło się później. Mogła to być jedynie upiorna halucynacja wywołana wstrząsem spowodowanym przez niemiecki ostrzał - gdyż właśnie w tej chwili pocisk artyleryjski trafił w budynek, obracając go w mgnieniu oka w perzynę. Któż to wie - skoro jedynie ja i West zdołaliśmy wyjść cało z tego piekła?

Ciało na stole podniosło się, w przerażający sposób szukając na oślep rękoma wokół siebie, a w chwilę potem usłyszeliśmy dźwięk. Nie nazwę tego głosem, gdyż było to zbyt straszne, nie mniej jednak krwi w żyłach nie

zmroził mi ani tembr tego dźwięku, ani treść słów - to krzyknęło jedynie: - Skacz, Ronaldzie, na miłość boską, skacz! Przerazające było przede wszystkim samo źródło owego dźwięku. Dobywał się on bowiem z ogromnego, zakrytego pojemnika stojącego w skąpanym w głębokich, upiornych cieniach, kącie laboratorium.

[<- Rozdział 4] [Początek] [Rozdział 6 ->]

6. Legiony umarłych

Kiedy doktor Herbert West zniknął, rok temu, bostońska policja dokładnie mnie przesłuchiwała. Sądziła, że coś zatajam, być może nawet podejrzewali coś o wiele gorszego, niemniej jednak nie mogłem powiedzieć im prawdy, gdyż na pewno by w nią nie uwierzyli. Wiedzieli rzecz jasna, że West prowadził działania w które nie uwierzyłby żaden zwykły śmiertelnik; jego potworne eksperymenty dotyczące reanimacji ciał zmarłych już od dawna nie były całkowitą tajemnicą, aczkolwiek ostatnia, rozdzierająca duszę katastrofa miała w sobie elementy demonicznego majaku, który sprawił, iż nawet ja zwątpiłem w prawdziwość tego, co zobaczyłem.

Byłem najbliższym przyjacielem Westa i jeep jedynym, zaufanym asystentem. Spotkaliśmy się wiele lat temu, na wydziale medycyny i od samego początku uczestniczyłem w jego straszliwych badaniach. Z wolna starał się udoskonalić roztwór, który wstrzyknięty do żył świeżo umarłych, przywraca ich do życia. Dzieło to wymagało stałej dostawy zwłok i wielce nietypowych działań. Mimo to, bardziej szokujące były efekty niektórych z tych eksperymentów: posępne masy martwych tkanek, które West przywrócił do stanu ślepej, bezmózgiej, przyprawiającej o mdłości animacji. Takie były typowe symptomy, gdyż, aby ożywić umysł, okazy musiały być absolutnie świeże, proces rozkładu nic mógł w najmniejszym stopniu naruszyć delikatnych komórek mózgowych.

Potrzeba zdobycia bardzo świeżych zwłok doprowadziła morale Westa do ruiny. Trudno było je uzyskać i któregoś dnia zabezpieczył dla siebie okaz, który wciąż jeszcze był żywy i zdrowy. Walka, zastrzyk i silny alkaloid zmienił go w bardzo świeżego trupa, zaś eksperyment zakończył się pozostającym w pamięci - choć krótkim - triumfem. W efekcie jednak, dusza Westa stała się od tego dnia zimna i nieczuła. Zdarzało się również, iż obrzucał ludzi, obdarzonych bystrym mózgiem i właściwym wigorem, taksującym spojrzeniem, jakby oglądał okazy. Ostatnimi czasami zacząłem otwarcie obawiać się Westa, gdyż wyraźnie zaczął przyglądać mi się w ten szczególny sposób.

Ludzie zdawali się nie zauważać jego spojrzeń, ale dostrzegali mój strach; zaś po jego zniknięciu wykorzystali to, jako podstawę do swych absurdalnych podejrzeń. W rzeczywistości, West bał się bardziej niż ja; odrażające poszukiwania zmieniły jego życie w koszmar, w którym stale czuł się niepewnie i lękał się byle cienia. Po części obawiał się policji. Czasami jednak, jego nerwowość była głębsza i bardziej mglista, związana z kilkoma niemożliwymi do opisanania istotami, którym nawzajem upiorną formę życia, i których naocznie nic widział konających. Zwykle kończył swoje eksperymenty przy pomocy rewolweru, ale kilkakrotnie okazał się zbyt wolny. Ma przykład w przypadku pierwszego okazu, na którego grobie widziano później wyraźne ślady rycia pazurami. Ponadto było jeszcze ciało profesora z Arkham, który popełnił kilka odrażających zbrodni, z aktami kanibalizmu łącznie, zanim go schwytano i osadzono w Zakładzie dla Obłąkanych w Sefton, gdzie przez szesnaście lat uparcie walił głową o ścianę. O większości innych, najprawdopodobniej ocalałych okazów, jest mi dużo łatwiej mówić - gdyż w latach późniejszych naukowy zapał Westa uległ degeneracji, zmieniając się w formę niezdrowej i fantastycznej manii, zgodnie z którą poświęcał swe umiejętności reanimacji, aby ożywić nic całe ciała, a poszczególne jego części, lub fragmenty połączone z tkanką organiczną inną niż ludzka. Zanim zniknął, jego działalność zmieniła się w diabelski, odrażający koszmar, o wielu eksperymentach nigdy nie ukaże się drukiem nawet najdrobniejsza wzmianka.

Wielka Wojna, podczas której obaj pełniliśmy funkcję chirurgów polowych, zintensyfikowała tę stronę Westa. Mówiąc, iż lękał Westa przed jego okazami były mgliste, mam na myśli głównie ich złożoną naturę. Po części brały się one jedynie ze świadomości istnienia owych bezimiennych potworów, poniekąd zaś z obawy przed uszkodzeniami ciała, jakie w pewnych okolicznościach mogłyby mu zadać. Ich zniknięcie nadało całej sytuacji wrażenia jeszcze głębszej grozy - z nich wszystkich, West znał miejsce pobytu tylko jednego - nieszczęsnego monstrum zamkniętego w zakładzie dla obłąkanych.

I był jeszcze inny, bardziej subtelny lęk: nader fantastyczna sensacja, będąca rezultatem niezwykłego eksperymentu w armii kanadyjskiej w 1915 roku. West, w samym sercu zaciętej bitwy reanimował majora sir Erica Morelanda Ciapham Lee, odznaczonego Distinguished Service Order, kolegę po fachu, który wiedział o jego eksperymentach i mógłby zacząć je naśladować. West odjął mu głowę, aby sprawdzić czy po korpusie można się spodziewać oznak quasi inteligentnego życia. Eksperyment zakończył się sukcesem i w tej samej chwili, w budynek uderzył pocisk artyleryjski. Kadłub poruszał się i, co może wydawać się niewiarygodne, obaj byliśmy dogłębnie przekonani, że usłyszeliśmy słowa płynące z leżącej w zacienionym kącie laboratorium, odciętej głowy oficera. Pocisk, okazał się w pewnym sensie litościwy, niemniej West nigdy nie czuł się tak pewnie, jak by sobie tego życzył, i wątpił czy tylko my dwaj zdołaliśmy przeżyć wybuch. Przywykł do wymyślania koszmarnych scenariuszy dalszego możliwego działania bezgłowego lekarza, obdarzonego mocą reanimowania umarłych.

Ostatnia siedziba Westa mieściła się w starym, nader eleganckim domu z widokiem na jeden z najstarszych cmentarzy w Bostonie. Wybrał to miejsce z czysto symbolicznych i fantastycznie estetycznych powodów, bowiem większość pochowanych tam zwłok pochodziła z okresu kolonialnego, a tym samym przedstawiałaby niewielką wartość dla naukowca poszukującego bardzo świeżych ciał. Laboratorium mieściło się w pomieszczeniu podpiwnicznym, wybudowanym potajemnie przez zagranicznych robotników; mieścił się tam wielki piec do spalania nieczystości, w którym West mógł szybko i całkowicie pozbywać się wszystkich tych zwłok, ich fragmentów, bądź syntetycznych namiastek ciał, jakie mogły pozostać po jego makabrycznych eksperymentach;

zarówno tych bardziej, jak i mniej poważnych. Podczas wykuwania tej piwnicy robotnicy natrafili na wyjątkowo stary mur - bez wątplenia połączony z dawnym cmentarzyskiem - niemniej jednak umieszczony zbyt głęboko, by mógł odpowiadać któremuś ze znajdujących się tam grobowców. Po dłuższym namyśle West stwierdził, iż musiał to być fragment jakiejś sekretnej komory pod grobem Averillów, gdzie ostatniego pochówku dokonano w 1768 roku.

Byłem z nim, gdy przyglądał się badawczo cuchnącym, zawilgłym ścianom, obnażonym przez łopaty i oskardy robotników i byłem przygotowany na okropny dreszcz, który towarzyszyć miał mi przy otwarciu ponad stuletnich grobowych tajemnic, ale, po raz pierwszy, niepokój Westa zdołał przezwyciężyć jego naturalną ciekawość i zdradził swą zdegenerowaną żyłkę, rożka żując by ściana pozostała nietknięta, a na dodatek jeszcze zamurowana.

Taką też pozostała do owej ostatniej, piekielnej nocy, stając się jedną ze ścian sekretnego laboratorium. Mówiąc o dekadencji Westa muszę dodać, iż była ona rzeczą czysto mentalną i zasadniczo nieuchwytną. Zewnętrznie do końca się nie zmienił, pozostając spokojnym, zimnym wręcz chudym, blondwłosym, niebieskookim okularnikiem - ot typowy, chłopak tryskający młodością, której zdawałoby się, nigdy nie zdołają skalać lęk i strach.

Wydawał się spokojny, nawet kiedy myślał o rozkopanym grobie i oglądał się przez ramię, nawet kiedy myślał o drapieżnej istocie, drapiącej i bijącej głową w ściany swej celi w zakładzie dla obłąkanych w Sefton.

Koniec Herberta Westa rozpoczął się pewnego wieczoru, w naszej wspólnej pracowni, kiedy na przemian popatrywał z zaciekawieniem, to na mnie, to na gazetę. Dziwaczny tytuł na jednej z pomiętych stron przykuł jego uwagę, zupełnie jakby szpon bezimiennego tytana, dosięgnął go poprzez przestrzeń szesnastu długich lat. W zakładzie dla obłąkanych w Sefton, oddalonym o pięćdziesiąt mil stąd, wydarzyło się coś strasznego i niewiarygodnego, powodując zakłopotanie wśród okolicznych mieszkańców i zmieszanie wśród policji.

We wczesnych godzinach rannych grupka milczących mężczyzn weszła na teren ośrodka, a ich przywódca obudził pracowników zakładu. Był to budzący grozę wojskowy, który mówił nie poruszając wargami, i którego głos, jak głos brzucho mówcy, wydawał się dobywać ze sporego pudła, trzymanego w ręku przez oficera. Jego pozbawione wyrazu oblicze wydawało się niemal olśniewająco piękne, ale dyrektor zakładu przeżył szok, kiedy spostrzegł je w świetle lamp znajdujących się w głównym holu, była to bowiem woskowa twarz z oczyma z malowanych szkiełek. Mężczyzna ów musiał paść ofiarą jakiegoś strasznego wypadku. Tuż za nim podążał wyższy mężczyzna, odrażający osiłek, którego posiniąte oblicze wydawało się na wpół wyżarte przez jakąś nie znaną chorobę. Przywódca zażądał przekazania mu potwornego zabójcy znanego jako kanibal z Arkham, przebywającego w Sefton od szesnastu lat, a gdy mu odmówiono, dał znak, który spowodował, iż rozpętało się piekło. Diabły z piekła rodem pobiły, podeптаły i pogryzły wszystkich pracowników zakładu, którzy nie zdążyli zbiec; zabiły czterech ludzi a na końcu uwolniły szalone monstrum. Ofiary pamiętające szczegóły wypadków i nie popadające przy tym w histerię, przysięgały że stworzenia zachowywały się mniej jak ludzie, a bardziej jak bezmyślne automaty sterowane przez wojskowego o woskowej twarzy. Zanim zdołano wezwać pomoc, po napastnikach i ich przywódcy zniknął wszelki ślad.

Od czasu, gdy przeczytał ów artykuł, do północy West siedział kompletnie nieruchomo, jak sparaliżowany. O północy ktoś zadzwonił do drzwi, a West, kompletnie zaskoczony i zaniepokojony drgnął gwałtownie. Wszyscy służący spali na poddaszu, toteż ja poszedłem aby otworzyć. Jak już wspominałem o tym policji, na ulicy nie było żadnego pojazdu, a jedynie grupka dziwnie wyglądających postaci dźwigających sporych rozmiarów pudła, które ułożyli w holu po tym jak jeden z nich, wysokim, zgoła nienaturalnym głosem oznajmił: - "Przesyłka Ekspresowa, opłata uiszczona z góry".

Wyszli z domu chwiejnym, jakby niepewnym krokiem, a gdy za nimi spoglądałem odniosłem dziwne wrażenie, iż kierowali się w stronę cmentarza, na tyłach domu. Kiedy zamknąłem za nimi drzwi, West zszedł na dół i spojrzął na pakę. Miała około dwóch stóp kwadratowych i widniało na niej napisane poprawnie nazwisko Westa oraz jego obecny adres zamieszkania. Znajdował się tam również podpis: "Od Erica Morelanda Ciaphama Lee, St. Eloi, Flanders". Przed sześcioma laty, we Rianders, zburzony artyleryjskim pociskiem budynek szpitala zawalił się na bezgłowy korpus doktora Ciaphama Lee i jego odjętą od ciała głowę, która - być może - zdołała wydać z siebie artykułowane dźwięki.

West nie był teraz nawet poruszony. Jego stan był o wiele bardziej mroczny. - To koniec - powiedział - ale najpierw spalmy "to". Znieśliśmy pakę do laboratorium, nasłuchując. Nie pamiętam wielu szczegółów, niemniej wierutnym kłamstwem jest twierdzenie, iż to ciało Herberta Westa umieściłem wewnątrz pieca. Obaj wstawiliśmy tam całe, nie otwierane pudło, zamknęliśmy drzwi i włączyliśmy prąd. Z pudła nie dobył się żaden nawet najcieńszy dźwięk.

To West pierwszy zauważył odpadające tynki na tej części ściany, gdzie został zamurowany fragment starego grobowca. W chwilę potem dostrzegłem małą, czarną szczelinę, poczułem demoniczny, lodowaty podmuch wiatru, a w moje nozdrza uderzył odór gnijących trzewi ziemi. Nic nie było słychać, ale w tej samej chwili zgasło światło i w blasku jakiejś dziwnej fosforescencji płynącej z innego świata dostrzegłem sylwetki całej hordy pracujących w milczeniu, upiornych istot, które mogła stworzyć jedynie chora wyobraźnia, lub coś o wiele gorszego.

Ich postacie były ludzkie, pół ludzkie, częściowo ludzkie, i nie ludzkie - horda była groteskowo heterogeniczna.

Jeden po drugim usuwały kamienie z ponad stuletniego muru. Później zaś, kiedy wyłom był dostatecznie duży. pojedynczym szeregiem weszły do laboratorium. Na ich czele podążał kroczący majestatycznie stwór z cudowną

głową wykonaną z wosku. Idące za swym przywódcą maskary zatrzymały spojrzenia pałających obłędem ślepi na Merbercie Weście. West nie opierał się, ani nie próbował krzyżeć. Wszystkie monstra, w jednej chwili rzuciły się na niego i na moich oczach rozdarły go na strzępy, zabierając fragmenty jego ciała w głąb podziemnej krypty grobowej. Głowę Westa zabrał ze sobą woskowogłowy oficer w kanadyjskim mundurze. Zanim zniknął dostrzegłem, iż niebieskie oczy za szklami okularów w drucianych oprawkach pały odrażającym błyskiem pierwszego, jeszcze nie uporządkowanego wrażenia wzrokowego.

Rankiem nieprzytomnego odnaleźli mnie służący. West zniknął. W piecu znajdowały się jedynie niezidentyfikowane popioły. Policjanci przesłuchiwali mnie, ale cóż im mogłem powiedzieć? nie powiąż z Western tragedii jaka wydarzyła się w Sefton - ani jej, ani wizyty mężczyzn z pudłem, gdyż uparcie zaprzeczają ich istnieniu. Powiedziałem im o grobowcu, a oni wskazali na nienaruszony tynk na zamurowanej ścianie i skwitowali moje słowa śmiechem. W tej sytuacji nie powiedziałem im już nic więcej. Sugerują, że albo jestem szaleńcem, albo mordercą - prawdopodobnie obłąkanym. Ale nie stałbym się nim, gdyby te przeklęte legiony umarłych nie były tak piekielnie ciche...

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[<- **Rozdział 5**] [**Początek**]